

ANDA
ROTTEN
MBERG

PROSZĘ BARDZO

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Anda Rottenberg

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

(TYM, KTÓRYCH NIE MA)

2007

D E P R E S J A

Prawy nadgarstek w gipsie akurat na Wielkanoc zaplanowaną terapeutycznie daleko od domu, nad zimnym Bałtykiem. Złamanie jest dobre na depresję. Nieoczekiwana leworęczność przemieszcza uwagę z pełnego motyli żołądka na teren zadań elementarnych, takich jak mycie, wkładanie spodni, zapinanie guzików, zasuwanie zamków błyskawicznych i wiązanie sznurowadeł. Ta chwilowa niepełnosprawność wyklucza mnie również z praktycznego życia, z tradycyjnej wielkanocnej krzątanimy, i sprzyja nabieraniu przedświątecznej dobroci. Pamiętam, jak Andrzej O. pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy się jeszcze kolegowaliśmy, powtarzał, że lubi, kiedy tak dobrze mówię o ludziach. – Jak to się dzieje, że tak dobrze mówisz o ludziach? – A teraz nie umiem wyłowić z pamięci tego dnia, kiedy straciłam tę pobłażliwość. Tę wspaniałomyślność. Tę tolerancję. Po pierwszym seansie nienawiści? Podczas pierwszej leczonej depresji? Po pierwszym aresztowaniu mego syna, kiedy nie było nikogo, kto chciałby mi pomóc? Obudowana tabletkami, zdrętwiała od znieczulenia, tkwiłam już wówczas w kokonie niepełnej obecności. Poranna pastylka szczęścia, żeby przeżyć dzień. Żeby sprostać dyrektorskim zadaniom. Stać na podium i zapowiadać kolejne wystawy, a przedtem je planować i realizować, zabiegać o przychyłność korowodu ministrów, o pieniądze od sponsorów, o życzliwość artystów, krytyków i personelu. – Bierze pani środki, które dają moim pacjentom w szpitalu. Oni leżą w łóżkach, a pani cały czas pracuje! – mówiła Grażyna M., moja lekarka pierwszego kontaktu. Bo jeśli nie praca – to co? Z pozycji poziomej można się nie podnieść po krótkim liście: „Mamo, wiem, że po tym, co zrobiłem, nie zechcesz mnie już więcej widzieć”, który zastałam na stole po tym, jak mój syn wszedł przez balkon na ósmym piętrze, a wyszedł drzwiami, zostawiając na półce akuratnie

rozkrecony zamek. Tyle razy wychodził, myślałam, a potem dzwonił albo pojawiał się nagle z prośbą o pomoc. Czy uznał, że go wysłę do więzienia na odwyk? Że go zakapuje? Nie była to przecież jego pierwsza kradzież, nie debiutował w wynoszeniu z domu przedmiotów zamienianych na spłatę podchodzących do gardła długów albo po prostu na towar. Może chodziło o to, że nieobecność tamtych innych rzeczy – cenniejszych książek, artystycznych wydawnictw, tenisowej rakiety, kamery, aparatu fotograficznego, wiecznych piór czy paru banknotów – nie rzuciła się natychmiast w oczy, nie była tak demonstracyjna, jak nieobecność telewizora? Może w grę wchodził wstyd, resztki wstydu, wywołane trudnym do uchwycenia rozróżnieniem między cichym „wzięciem” a spektakularnym włamaniem do domu własnej matki?

Musiał wiedzieć, że spróbuję zrozumieć tę determinację, ale że jej nie zaakceptuję. Nie ze względu na wartość przedmiotów, straciłam ich w życiu wiele, nie miały dla mnie znaczenia, ale z uwagi na jego własną, ludzką wartość. Był bardzo inteligentny, mógł przewidywać, że już nie będę go namawiać do niehumanitarnego wysiłku wydobywania się z uzależnienia, do kolejnego przejścia przez wszystkie, znane nam obydwojemu, bolesne stadia oczyszczania organizmu, a potem do trwającej całe życie, męczącej abstynencji. Mógł pomyśleć, że wiem już to, co sam wiedział: że brak mu siły. Już nie wierzył w wyleczenie, w to, że n a p r a w dę przestanie zatruwać swoje serce, swój mózg, swój talent, swoje człowieczeństwo, może trochę zanadto rozwinięte, zbyt silnie odczuwane od samego dzieciństwa. Zaistniało bardzo wiele przesłanek, by pomyślał, że nie zapamiętałam tego, co mi kiedyś, dużo wcześniej, powiedział na temat syna marnotrawnego, jego ulubionej biblijnej przypowieści i ulubionego obrazu Rembrandta. Wracał do tego motywu kilkakrotnie, zapewne z nadzieją na podobnie szczęśliwy finał, a potem uznał, że to wyrzuciłam z pamięci. Ale ja to pamiętałam. Dlatego przez następne miesiące i lata nie dopuszczałam myśli o ostatecznej możliwości, także wówczas, gdy czująca aurę kobieta dotknęła zdjęcia i powiedziała twarodo: – On jest zimny. – Korzystałam z magicznych metod, które kiedy indziej kwitowałabym pukaniem się w czoło. A przecież byłam niemal pewna, że nie będzie go można zaliczyć do statystycznego promila wyleczonych przypadków; że jeśli po roku przerwy w braniu nie potrafił wejść w życie rodzinne z dziewczyną i dzieckiem, których potrzebował,

to może także nie będzie umiał walczyć o elementarną egzystencję nastawioną już tylko na zdobywanie towaru, a więc, że czeka go to, co przewiduje tragicznie banalny scenariusz życia narkomana. Tragicznie banalny. Bez względu na wszystkie starania. Bez względu na wysokie IQ i rozbudowaną osobowość, odczytanie i wrażliwość na formę. Na subtelność uczuć. Albo właśnie ze względu na to wszystko.

Wiedziałam „na rozum”, na podstawie statystyk, lektur, rachunku prawdopodobieństwa – wiedziałam. Ale nie wierzyłam. Pamiętałam nasze rozmowy o synu marnotrawnym. Posłusznie oglądałam zdjęcia podsuwane przez policjantów na ulicy Wilczej i za każdym razem z ulgą stwierdzałam, że nie. Nie, nie, to nie on. – Proszę mi pobrać krew i zbadać kod genetyczny. Proszę zadzwonić, kiedy będziecie mieli pewność, że to mój syn. – A teraz, po dziesięciu latach letargu, jakiejś niemożliwej do wyjaśnienia hibernacji mózgu, nagle zapragnęłam dowodów. Zapragnęłam zakończyć ten rozdział, zamknąć go wreszcie, jak zamykam życie ojca, życie mamy, życie mojej nieznannej rodziny z obu tajemniczych linii. Żeby tylko pastylki szczęścia nie znieczuliły mnie znowu na empatię. Żeby odzyskać trochę dobroci, której źle lokowany nadmiar stał się przyczyną tylu nieszczęść. (Tak mi się wydaje, że można tu mówić o źle lokowanym nadmiarze i braku umiejętności; właściwie o niezdolności). Żeby wysilić pamięć własnego dzieciństwa, która pomoże mi zrozumieć, dlaczego zrobiłam swemu dziecku to wszystko, co się określa mianem toksycznego wychowania.



BEZRADNOŚĆ

Ledwie zaczynam, a już wpadam w bezradność. Nie umiem robić wypisów z pamięci. Nie potrafię artykułować przeszłości: odtwarzać faktów, rekonstruować myśli, opowiadać o uczuciach. Rozlewne opowiadanie domaga się fikcji. Narracja wymaga wartkiej akcji, barwnego opisu, celnej charakterystyki i żywego dialogu; setki stron mijania się z prawdą, bo prawda popsuje formę i złamie zasadę budowy utworu. Prawda jest bezforemna, a przez to niewygodna, nie daje się wtłoczyć w rytm frazy, nie wpisuje się w ramy kompozycji inaczej niż jako fikcja. A co z tym banałem codzienności, co z ciągiem nieudanych przyjaźni i romansów, gdzie podziąć niespełnione marzenia i nudne wieczory, jak się przyznać do żałosnych klęsk zawodowych, finansowych i rodzinnych? Nie każde życie warte jest romansu, chyba że potrafi się je trochę ubarwić. Ale ja nie potrafię zmyślać. Setki stron poświęconych sztuce były próbą opisywania fenomenu innej rzeczywistości. Poniekąd realnej, choć przecież prawda sztuki też jest fikcją, czyta się ją jak książkę i komentuje jak książkę. Z prawdą życia jest inaczej. Miliony chwil, najczęściej błahych dla innych i po latach także dla nas samych, zdarzeń podobnych do siebie i z sobą nieporównywalnych – zapada w niepamięć, ponieważ nie otrzymały właściwej formy. „Życie jest formą istnienia białka, ale w kominie coś czasem załka”. Istnienie białka jest nieciekawe tak długo, jak długo nie towarzyszy mu łkanie w kominie. To ono budzi zaciekawienie, nie fakt czyichś narodzin i śmierci. Chyba że faktom tym towarzyszą wyjątkowe, warte odnotowania okoliczności – i to one są przedmiotem narracji. Czy jednak wystarczy się urodzić w dziwnej sytuacji, by zaciekawić kronikarza? Nawet tego warunku nie spełniam.

Urodziłam się w sposób banalny, typowy dla mojego pokolenia, nieobarczonego pamięcią wojny, ale wojną naznaczonego przez ge-

nerację rodziców i nauczycieli – tych wszystkich okaleczonych dorosłych, którzy bardzo nie chcieli, byśmy doświadczyli tego samego, czego oni doświadczyć musieli, a ponieważ teraz już wiedzieli więcej, robili wszystko, by nas od podobnego losu uchronić. Z tego punktu widzenia całe moje życie jest przypadkiem typowym. Jak opowiedzieć o tej typowości? O typowych szkołach i typowych nauczycielach, typowych ubraniach i typowych produktach masowego żywienia. O tańcach i piosenkach śpiewanych od Bałtyku do Tatr. O wydarzeniach powoli ruszających z posad typowy światopogląd. I jak wyłuskać z tej typowości pojedyncze istnienie, *pars pro toto* pierwszego pokolenia w całej historii nowożytnej Europy, które nie zaznało prawdziwej wojny, ale wyrosło w jej mrocznym cieniu i jakoś nie umie z tego cienia wyjść na światło? Pokolenia, na którym eksperymentowano marszowy krok do przodu, bez oglądania się wstecz, na rodzinne korzenie i groby, i które dopiero po śmierci swoich bliskich rusza w przeszłość, by spełnić zaległy obowiązek, choć niewiele już pozostało do uratowania, bo korzenie obumierają, a groby milczą. Pozostaje odrobina świadectw i pamięć – dziś już własna, ale przejęta z drugiej ręki, od tych, którzy pamiętali lepiej i dokładniej, nie mówili jednak wszystkiego albo mówili chaotycznie, albo ich nie słuchaliśmy.

To tylko jedna strona. Drugą jest ustawicznie doznawana osobność, inność niepozwalająca na identyfikację ani z grupą rówieśniczą, ani polityczną, ani wyznaniową, ani – wreszcie – narodową. Przynajmniej nie w pełni i nie do końca, co może wzbogaca, ale też doskwiera i ostatecznie kształtuje niespójną, rozchwianą osobowość, determinuje życiorys. Jeśli więc używam pojęcia *pars pro toto*, to niezupełnie w odniesieniu do całego pokolenia, raczej do tej jego drobnej części, która mogłaby nawet umknąć uwadze, gdyby nie to, że została za swoją inność napiętnowana, a zatem przeeksponowana, wystawiona przed szereg jako obiekt służący kanalizowaniu społecznych czy może grupowych frustracji, poddana odwiecznej, plemienniej ceremonii mającej służyć zbiorowemu oczyszczeniu, *katharsis*.

Wydaje się, że roztopienie najzupełniej osobistego losu w tym ogólniejszym, niegdyś już rozpoznanym jako doświadczenie „pokolenia bez życiorysu”, może być warte namysłu. Powinam tylko to wszystko jakoś uporządkować czy raczej znaleźć sposób na znakowanie pojedynczych

drobinek składających się na strukturę całości – tak jak w chemicznym roztworze oznacza się skrobię. Na przykład. Wiadomo wtedy przynajmniej, czy ma się do czynienia z krochmalem.

NEGATYWY PRZECHOWUJEMY

Pytają, czym się teraz zajmuję, jeśli nie mam posady. – Co pani teraz robi?

Rzucam palenie. Szukam rodziny. Jedno drugiemu nie pomaga. Przy szukaniu bardziej chce się palić. Po nikotynowych plastrach pozostają na skórze kwadraty z alergicznym odczynem. Są pokryte czerwonymi bąblami i swędzą. Palenie rzucam od trzech miesięcy. Każdego miesiąca przybywa mi jeden kilogram. Zaczynam pękać w szwach. Również z braku stresu i adrenaliny, na której jechałam przez całe lata. Rodziny szukam od odejścia z muzeum, które wreszcie zaistniało, przynajmniej na papierze. Nie muszę już o nie walczyć z zastępami urzędników, i po ćwierćwieczu zmagañ nie chce mi się już go budować. Z dnia na dzień przestawiłam dźwignię, przekierowałam pociąg na inne tory, odjeżdżam w przeszłość, szukam w pamięci, szukam w dokumentach, gmeram w fotografiach, gromadzę fakty i dowody, zajmuję się typową dla mojego zawodu pracą badawczą – robię coś, czego nie lubiłam jako starszy asystent w Instytucie Sztuki PAN, coś, co mnie śmiertelnie nużyło i było powodem odejścia z pracy na chwilę przed obroną doktoratu, już niemal gotowego. Pozostały elementarne umiejętności, które dzisiaj nieco pomagają w docieraniu do pojedynczych wątków, w kojarzeniu faktów i rekonstruowaniu obrazu jeszcze dalekiego od doskonałości, ale przecież coraz bardziej wyraźnego, wyłaniającego się z nieistnienia, z próżni, jaka wypełniała moją głowę i moje serce w miejscu przeznaczonym na przeszłość moich bliskich.

Nie zaczynam od zera. Mam za sobą wielogodzinne tasowanie starych rosyjskich zdjęć przywiezionych przez mamę po śmierci babki z jej mieszkania w Nowosybirsku. Przez siedemnaście lat leżały w pudełku po butach i nigdy nie nadarzyła się okazja, by nad nimi usiąść,

wysłuchać opowieści o tych wszystkich solennie upozowanych osobach, poznać ich imiona i rozsypać łączące ich więzy krwi. Uczyniłam to dopiero podczas pakowania dóbr, kiedy opróżniałam z całego dobytku pozostawione przez mamę mieszkanie w Legnicy. Wujek Jura, brat mojej mamy Lidy, który przyjechał ze swym synem po spadek, domagał się też zwrotu rodzinnych fotografii, bo Lida je zabrała nikogo nie pytając o zgodę, a one przecież należą do niego, bo to on został w Rosji i to właśnie jego rodzina musi znać swoje korzenie. Nie wypomniałam Jurze, że nie wie, gdzie są groby jego matki i siostry, więc nie nadał się na strażnika pamięci i nie zasługuje na tę jedyną pamiątkę po mojej babce, jeśli nie liczyć samowara, patelni do smażenia konfitur i ciężkiego moździerza z mosiądzu, które mama także przytargała z Nowosybirsk. Powiedziałam, że nie wiem o zdjęciach. Skłamałam patrząc mu z uporem w oczy, już po tych wszystkich dniach prawosławnej Wielkanocy, kiedy patrzyliśmy na ustawioną w serwantce urnę z prochami mamy i czekaliśmy w jej legnickim mieszkaniu na miejsce pochówku w Warszawie. Miało się spełnić, co się nie spełniło za jej życia: że trafi w moje pobliże, że wreszcie znajdzie się w moim zasięgu, choć to bliskość umowna, wyznaczona przez nasze ludzkie, plemienne rytuały; bliskość w kategoriach odległości od domu do prawosławnego cmentarza na Woli. Kiedy już skończyły się święta i zawiozłam mamę do Warszawy, żeby spuścić ją do wybetonowanej czeluści przy akompaniamencie starocerkiewno-słowiańskich zaśpiewów, kiedy, na powrót w Legnicy, wysłuchałam tych jego ochów i achów, że go boli serce, że pogrzeb taki piękny, nie to, co u nich na Syberii, gdzie wszystko na łapu-capu, i że nie warto przekazywać Mateuszowi całego warsztatu, bo on go przecież zmarnuje, jest narkomanem, podczas gdy im w Rosji w sam raz się przyda na okres pierestrojki, i gdzie są te zdjęcia, które się należą – wtedy otworzyłam wreszcie przed nimi porcelanowy interes mamy i pozwoliłam wziąć, co tylko zdołają udźwignąć – i jednocześnie oznajmiłam twardo, że nic nie wiem o zdjęciach. Wtedy przestali się dopytywać, zasiedli w pracowni i pakowali dobytek aż do pory odjazdu pociągu.

A kiedy wreszcie wyjechali, sięgnęłam po pudełko i rozłożyłam zdjęcia. Przebierałam je w rękach, tasowałam jak karty tarota, ze strachem i roztargnieniem. Jeszcze nie umiałam się koncentrować, byłam

chora na nagłą śmierć mamy i powtarzający się bez końca obraz jej upadającego ciała (bardziej doznawany niż wyobrażony), na dojmującą obecność obcej rodziny i dojmującą nieobecność bliskich, na zanikanie więzi z Mateuszem oddalającym się w nirwanę opiatów, na załatwianie koniecznych ceremonii, wreszcie na sortowanie tych wszystkich rzeczy, które stopniowo wyprzedawałam, rozdawałam, wyrzucałam. Więc wówczas nie umiałam rozpoznać na tych zdjęciach nikogo prócz tych, których znałam osobiście. A znałam tylko babkę Afanasję i ciotkę Zinę. Charakterystyczna twarz ciotki dała się od razu wyłowić na zbiorowym zdjęciu, choć była na nim małą dziewczynką. Pamiętałam też twarz babki i metodą dedukcji odkryłam wygląd dziadka. To wszystko. Na tym wówczas poprzestałam.

Drugie podejście nastąpiło po wielu latach, gdy zaczęłam szukać na prawdę. Wówczas okazało się, że możliwe jest składanie drobniotkich fragmentów w nieco większe elementy, że daje się wyciągnąć z pamięci rozrzucone kawałeczki, dodać do siebie wyjęte z opowieści mamy i zatrzymane w mojej dziecięcej głowie mało istotne szczegóły, dopasowując je do drugich tak, by zaczęły znaczyć coś więcej, niż dotychczas znaczyły. W ten sposób rosyjska rodzina dała się jakoś ułożyć, nie cała, bez przybudówek, jednak główny trzon zarysował się całkiem wyraźnie, pozwolił sfabularyzować i odsłonił obszar niedoboru dotyczący dawniejszej przeszłości, tej sprzed wyjazdu na Syberię. Mogę się nigdy o niej nie dowiedzieć, a gdyby nawet to się udało, droga do wiedzy musiałaby prowadzić przez Nowosybirsk i niechciane spotkanie z rodziną, która się odwróciła od własnych grobów. Wiem jednak, że kiedyś będę musiała się zebrać do tej podróży w otchłań carskich archiwów, gdzie mogę odnaleźć dekrety kierujące na Sybir, na osiedlenie, dwie rodziny – jedną przedsiębiorczą, drugą romantyczną, splecione wskutek popełnionego przez swoje dzieci mezaliansu – które ja, ich daleka krewna po kądzieli, kapryśnym zrządzeniem losu zapragnę ocalić od zapomnienia. Tak się przecież mówi – „ocalić”, czyli wydobyć odrobinę życia z tych anonimowych, upozowanych do zdjęcia postaci.

Pierwsze zdjęcie zostało zrobione około roku 1909 w zakładzie Fotografii Moskiewskiej R.K. Węgra: „Cabinet Portrait. Miasto Nowonikołajewsk. Negatywy przechowujemy”.



Symetryczna kompozycja w wyblakłej sepii. W centrum, za wysokim, ozdobnym stolikiem, stoją chłopcy: ramię przy ramieniu, uczesani na boczek, ubrani w jednakowe jedwabne rubaszki, przepasani szerokimi rzemiennymi pasami. Dziewczyny siedzą na aksamitnych fotelach z frędzlą. Anna, najstarsza, już wówczas zamężna, prawie całkiem frontalnie zwrócona do obiektywu, w ciemnej sukni zapinanej wysoko pod szyją, z obrączką na palcu. Afanasja, młodsza, w białej ozdobnej bluzce, taftowej spódnicy z falbanami i bucikach zapinanych na malutkie guziczki, siedzi w półobrocie, jakby na chwilę przerwała konwersację z siostrą.

Fotografia czwórki rodzeństwa Biełogłazowów może wcale nie być najstarsza. Mogła ją poprzedzać ta z zakładu P.J. Owczyni, z ulicy Dworcowej, przedstawiająca tylko jednego z dwóch chłopców, tego wyższego, i Afanasję. Tym razem to chłopiec siedzi, także w rubaszce, ale i w futrzanej czapce, jakby ją zapomniał zdjąć u fotografa, a dziewczynka stoi w skromnej sukieneczce, ledwo sięgającej cholewek wysokich bucików, z prawą ręką opartą o ramię brata i bukietem kwiatów w lewej. Może mieć czternaście lat. Albo niewiele więcej.



Fotografia trzecia przedstawia ich oboje w towarzystwie postronnego przystojniaka. Brat – jak to się stało, że nie poznałam jego imienia? – już odmieniony, całkiem dorosły, w eleganckim jasnym palcie z aksamitnymi wyłogami, białej koszuli i furażerze siedzi w centrum kadru. Afanasja w obcisłym palcie i szalu na głowie stoi za jakąś barierką. Na palcu błyszczy obrączka. Może być rok 1912, dwa lata po ślubie i po utracie pierwszego dziecka, a przed urodzeniem drugiego.

Afanasja Biełogłazow, moja babka, na wszystkich zdjęciach ma taką samą fryzurę i taki sam wyraz twarzy. Patrzy z uporem wprost w obiektyw, bez kokieterii, bez uśmiechu, z osobliwą powagą, nielicującą z jej młodym wiekiem. Ten sam wyraz zachowała nawet na pamiątkowej fotografii ze swym mężem Kiryłem Szerszniowem i moją małą mamą, a także na grupowym zdjęciu rodzinnym, na którym pozuje dwadzieścia pięć, w większości nieznanych mi osób. Tylko dwa razy fotografia zatrzymała jej uśmiech: kiedy skończyła się wojna oraz kiedy trzyma mnie, paromiesięczną, na kolanach.

Biełogłazowowie i Szerszniowowie przywędrowali na osiedlenie z europejskiej części Rosji. Skąd dokładnie? Nie wiadomo. Czemu trafili na Syberię? Zdaje się, że byli zesłańcami. Może mieli problemy ze służbą wojskową, może się buntowali, może łamali prawo? Zsyłano powszechnie, za różne rzeczy, także przed rewolucją. Niewykluczone jednak, że udali się tam dobrowolnie, by w ramach słynnej akcji Stołypina zasiedlić i „ucywilizować” Dziki Wschód, podobnie jak ich rówieśnicy po drugiej stronie oceanu „cywilizowali” Dziki Zachód. Biełogłazowowie, według relacji mamy, związani byli z polską rodziną Listowskich. Jak związani? Mama nie wiedziała albo nie chciała powiedzieć. Moi pradziadkowie z urodzonymi jeszcze przed zesłaniem dziećmi mogli dojechać do osady Gusiewka, którą w roku 1893, po śmierci Aleksandra III, przemianowano na Aleksandrowsk. Osada rozwijała się wokół stacji Kolei Transsyberyjskiej, a tempo rozwoju wzrosło znacząco po zbudowaniu mostu na rzece Ob, jednej z największych syberyjskich rzek. Most powstał w roku 1897, a już w 1903 osada stała się miastem. Jeśli moi przodkowie przywędrowali tam dobrowolnie, to data ich osiedlenia przesuwają się na pierwsze lata XX wieku – stołypinowska kolonizacja Syberii rozpoczęła się po stłumieniu rewolucji 1905 roku i trwała do roku 1907. Wówczas nie docierali tam

etapami, ale kolejną, i nie do osady Gusiewka, ale już do miasta Nowonikołajewsk.

Nie ma jedności co do źródła tej nazwy. Przyjęło się, że nadano ją na cześć imperatora Mikołaja. Niektórzy jednak uważają, że chodzi raczej o świętego, bo przecież car nie godziłby się chyba na takie pomniki za życia. Tak czy inaczej, miasto nad wielką rzeką stało się szybko stolicą obwodu syberyjskiego. Pociągi dowoziły tam ludzi i dobra, rzeka była spławna przez cztery do pięciu miesięcy w roku, jej dopływy błyskały złotem, a tajga dostarczała wartościowych skór. Pojawiły się sklepy kolonialne i perfekcyjne chińskie pralnie. Powstały nowe cerkwie, wzniesiono murowaną, miejską łaźnię i, oczywiście, otwarto zakłady fotograficzne. Rodzina Szerszniowów szybko nauczyła się korzystać z dobrodziejstw życia na styku kolei i tajgi. Wiem, że zbudowali obszerny, mocny dom. Znalazło się w nim miejsce nie tylko na handlowy kantor, ale i na liczne dzieci, których Pan im nie skąpił. Na ogół rodziły się dziewczynki. Iwan Szerszniow miał surowe zasady i proste upodobania. Zasadą naczelną było absolutne podporządkowanie jego woli. Odnosiło się to zwłaszcza do dzieci i służby. Dzieci miały się uczyć, służba pracować. Jeśli chodzi o kwestie estetyczne, to nie był wybredny, gustował w złocie i futrach. Kobiety lubił tęgie, wysokie, najlepiej ze złotym uzębieniem. Mama kiedyś podsłuchiwała, jak z zachwytem opisywał jedną ze swoich znajomych: – *Sto pudow wiesa i połnyj rot złotych zubow* (sto kilo wagi i usta pełne złotych zębów). – Taka właśnie była moja prababka, co widać na jednym ze zdjęć.

O ile mi wiadomo, spod władzy ojca wyrwało się tylko dwoje dzieci. Najpierw najstarszy syn Kirył, mój dziadek. Zamiast kończyć szkoły i ożenić się z odpowiednio bogatą panną, opuścił dom rodzinny i rozpoczął praktyki u szewca, a wkrótce potem ożenił z moją babką Afanasją Biełogłazow, z niezbyt zamożnej rodziny. – Byli biedni, ale utalentowani – powtarzała moja mama, która zawsze wołała rodzinę po kądzieli. Ciotki po mieczu były „oschłe i wyniosłe”. Z wyjątkiem Marii, najmłodszej. Maria dorosła dopiero w okresie NEP-u. Przetaczająca się przez Syberię rewolucyjna zawierucha nie zmieniła poglądów pradiadka Iwana i nie przeszkodziła mu wydać jej za mąż w zgodzie z jego własnym wyborem. Narzeczony był majątny, stateczny i rokował na przyszłość. Mówiono, że starał się o Marię nie tylko ze wzglę-

du na wiano, ale i urodę; podobno była bardzo piękna. W dniu ślubu, nie zważając na łyzy i nieśmiałe protesty, wystrojono ją w białe szaty i zawieziono do cerkwi tradycyjną karetą. Po męczącej, długotrwałej ceremonii, pełnej zaśpiewów i kadzidlanego dymu, i po pierwszych weselnych toastach karetą uwiozła poślubioną parę. Rankiem następnego dnia, kiedy wesele dogorywało, oblubieniec pojawił się w domu świeżo pozyskanego teścia i zapytał nie o posag, a o Marię. Okazało się, że nie dojechali do małżeńskiego łoża. Nie skunsumowali. Maria uciekła i spędziła noc poślubną z innym. Miłość nie wybiera! Kim był inny? Maria nie powiedziała. Po powrocie do domu poszła prosto do spiżarni i wypila octową esencję. Zmarła tego samego dnia. Straszny wstyd w mieszczańskiej rodzinie Szerszniowów zmieszał się z podziwem dla Marii w romantycznej rodzinie Biełogłazowów. To oni podtrzymali romantyczną „legendę o miłości i śmierci”, choć – jak mówili – w trumnie Maria wyglądała przerażająco, z wypalonymi esencją, czarnymi ustami.

Dziadek, skądinąd szafawila, odziedziczył smykałkę do interesów. Szybko rozwinął warsztat szewski do okazałych rozmiarów i zdobył



poważanie. Ślub z moją osiemnastoletnią babką odbył się około roku 1910. Pierworodna córeczka była słabego zdrowia, zmarła po kilku miesiącach. Babka przeżyła to ciężko, ale wkrótce znów była w ciąży. Następnym dzieckiem także była dziewczynka, która otrzymała imię Lidia po swojej nieżyjącej siostrze. Była wczesna wiosna 1913 roku. Wszystko chyba szło ku lepszemu, mówi o tym fotografia rozległej rodziny z prychówkiem.

Nigdy się nie dowiedziałam, która z siedzących na pierwszym planie dziewczynek była Marią, ponieważ także dlatego, że – z oczywistych powodów – nie mogłam poprosić Jury o wskazanie jej na zdjęciu. Ale przyglądając się przez lupę wyblakłym rysom moich – wówczas nieletnich – stryjecznych babek, odkryłam nagle uderzające podobieństwo między jedną z nich a mną z czasów dzieciństwa – kiedy byłam blondynką i nosiłam warkoczyki, utrwalone na jednym z czarno-białych zdjęć w małym, jak zwykle, formacie. Czy to możliwe, abym jednak coś odziedziczyła po rodzinie Szerszniowów? A jeżeli tak, to co? Przedsiębiorczość? Porywczość? Może determinację i skłonność do radykalnych rozwiązań nawet za cenę nieproporcjonalną do przewinienia? Nadal nie wiem, jak miały na imię pozostałe ciotki mojej mamy. Nie wiem też, jakie imię nosiła dziewczynka, po której odziedziczyłam swój dziecięcy wygląd.

Wiera urodziła się w 1917, kiedy Nowonikołajewsk liczył już osiemdziesiąt tysięcy stałych mieszkańców, którzy, jak świadczy historia, nie mieli skłonności rewolucyjnych. Właśnie wtedy moja rodzina przestała się fotografować w zakładzie Fotografii Moskiewskiej, przechodzącym z rąk R.K. Węgra najpierw do M.D. Towstucha, a zaraz potem do D.M. Pożydałowa, gdzie lubiła się fotografować rodzina babki Afanasji. Nie robiono też zdjęć ani u Rudolfa Schalla, który ustawił dziadka przy obcętym pniu drzewa, ani w studio P.J. Owczina, który uwiecznił siedzącego w fotelu dziadka i babkę przytrzymującą na konsoli swoją pierwszą córeczkę, ani wreszcie w zakładzie A.A. Chaimowicza w Tomsku, gdzie usadzono na aksamitnej poduszce moją kilkumiesięczną mamę odzianą w koszulkę z angielskim haftem. Do Tomsku jeździli (zapewne w interesach) pociągiem po nowo położonych szynach Kolei Transsyberyjskiej. Podobno dziadek bardzo kochał małą Lidę, zamierzał nie szczędzić grosza na jej wykształcenie i posłać ją na nauki do Instytutu Szlachetnie Urodzonych Panien (Institut błagorodnych diewic).





Sfotografował ją w Tomsku jeszcze raz, w 1917. Na tym ostatnim zdjęciu ma około czterech lat i króciutkie włoski, już ciemne. Musiała przeżyć tyfus podczas pierwszej, krótkiej fali rewolucji.

Bolszewicy zawładnęli miastem na dobre dopiero pod koniec roku 1920, ale na szczęście szybko wprowadzono NEP i można było odbudować nadwątlone majątki. Dziadek posadził w warsztacie bezprizornych, którzy zaczęli się już wałęsać po zabłoconych ulicach miasta, a sam wyjeżdżał do tajgi na polowanie i handel wymienny: gotowe buty za skórki i złoto. Koniec transakcji zwykle suto zakrapiano, po czym dziadek udawał się w drogę powrotną. Na szczęście – mówiła później mama – konie znały drogę, więc sanie często zajeżdżały pod

dom ze śpiącym z upojenia, zakopanym w skóry dziadkiem. – Dobre konie, dobre – mówiła babka, wyciągając męża z sań. – Lida, sprawdź kieszenie. Mama pospiesznie obmacywała futro dziadka i wyciągała woreczek ze złotym piaskiem. Dzięki temu nie wszystko szło na wódkę, której dziadek potrzebował coraz częściej, bo na trzeźwo brakowało mu dawnej fantazji. Złote grudki można było wymieniać w Torgsinie na wszystkie potrzebne towary. Dzieci było już troje, w 1923 urodził się Jura, jedyny chłopiec. Musiało wystarczyć na jedzenie, na ubranie, na szkoły dla dziewczynek, wreszcie na utrzymanie pracujących w warsztacie bezprizornych, a także koni i psów myśliwskich (– Mieliśmy charaty – wspominała mama), trzymany pod koniec raczej dla fasonu, bo polowania przestały być legalne.

Miasto rosło jak na drożdżach. W roku 1925 otrzymało nową, świeżką nazwę Nowosybirsk, wkrótce też zaczął je otaczać wianuszek łągrów. Podczas wielkiego głodu, którego kulminacja przypadła na rok 1930, gwałtownie rozrosły się przedmieścia, gdzie w byle jak skleconych, drewnianych budach gnieździli się ludzie uchodzący z europejskiej części stalinowskiego imperium. Utuczone na NEP-ie kupcowe chudły gwałtownie; Lida z niedowierzaniem obserwowała je w bani, jak szorują luźno zwisające worki skóry na miejscu obfitych niegdyś piersi i wydatnych brzuchów. Babka Afanasja mruczała: – Trzeba się było nie tuczyć cudzym kosztem!

Wówczas dziadek podjął decyzję o wyjeździe. Właściwie dlaczego? Warsztat wraz z częścią domu przejął na własność skarb państwa, reszta dobytku poszła na opłacenie domiaru. Babka nie miała zawodu, dziewczynki dorastały. Nie wiadomo skąd pojawił się mit o mlekiem i miodem płynącym Duszanbe. Na decyzję mogło wpłynąć także otwarcie nowej linii kolejowej – widomego znaku zawładnięcia Tadżykistanem przez bolszewików (w roku 1929 powstała Tadżycka Socjalistyczna Republika Radziecka). Pojechali akurat wtedy, gdy Duszanbe przemianowano na Stalinabad – miasto Stalina. Nie znaleźli mleka ani miodu. Jedli płow, rodzaj risotta na tłustej baraninie, z symbolicznym „wsadem warzywnym”. Płow trzymał ich przy życiu – wystarczała mała porcja raz dziennie. Dziadek musiał chyba znaleźć pracę. Jaką? Miał nawyk rządzenia, więc do fabryki się raczej nie nadawał. Pewnie próbował założyć jakiś szewski warsztat, coś w rodzaju spółdzielni. Jako bezpar-

tyjny były wyzyskiwacz z całą pewnością nie zostałby dyrektorem, ale brygadziwą to już tak. Lida właśnie skończyła szkołę i zaczęła się interesować filmem. Podglądała ekipy kroniki filmowej kręcące agitki o postępie, jaki wniósł do Tadżykistanu przodujący ustrój. Z daleka obserwowała rozstawione kamery, ruch na planie. Była wysoka, chuda i nieśmiała. W dodatku się jąkała. Kiedy zaczynała rozmowę z obcymi, jąkała się jeszcze bardziej. Jąkała się też Wiera i jąkał się Jura. Musiało to ciekawie wyglądać, kiedy ta trójka ze sobą rozmawiała. Wszyscy troje mieli z tego powodu kłopoty w szkole. Szczególnie w szkole radzieckiej, w której Szerszniowowie stali się przedmiotem kpin zarówno ze strony uczniów, jak i nauczycieli. Nie potrafili odpowiedzieć płynnie na żadne pytanie, a kto miałby cierpliwość do słuchania jąkały? Mamie przeszło niedługo po powrocie do Nowosybirsk, Jurze – kiedy poszedł na front. Wiera jąkała się do końca życia. Ale tylko wtedy, kiedy mówiła. Przy śpiewaniu jąkanie mijało.

Nie wiadomo, jakimi drogami uparta Lida trafiła do maleńkiej wytwórni w Stalinabadzie. Do montażowni, jako stażystka. Była zachwycona. Po jakimś czasie dopuszczano ją do stołu i pozwalano samodzielnie sklejać mniejsze kawałki. A dookoła kręcił się zaczarowany świat



filmu. Reżyserzy, aktorzy, operatorzy. Film był potęgą, także w Związku Radzieckim, gdzie z niemalym powodzeniem wykorzystywano jego egalitarny charakter do celów propagandowych. Tej strony Lida nie dostrzegała, była zakochana w kinie i chciała więcej.

Uruchomiła zepsuty aparat fotograficzny (twierdziła nawet, że sama go skonstruowała, ale jakoś nie mogłam w to uwierzyć) i próbowała robić zdjęcia. Nawiązała przyjaźnie, których szczątkowe ślady znajduję w albumie.

Jakieś zdjęcia z filmowego pleneru, z roslym operatorem na pierwszym planie, jakieś upozowane pięknoty w kostiumach kąpielowych, jacyś przystojni okularnicy w tadżyckich nakryciach głowy. Wszyscy zostawiali mamie swoje podobizny „ku pamięci” w lutym 1933. Rodzina Szerszniowów wyjeżdżała z Duszanbe-Stalinabadu do swego miasta Nowosybirsk.

Wielka czystka jeszcze nie nastąpiła, ale sieć terroru rozrosła się imponująco. Jesienią 1929 roku został zorganizowany w Nowosybirsku syberyjski ITŁ zwany Sibulonem albo prościej – Sibłagiem. Z czasem system rozwinął się na terenie całego okręgu. Nie miał adresu pocztowego. Aby tam pisać, należało znać prawidłową nazwę opatrzoną licznymi skrótami. Kod telegraficzny do komunikacji wewnątrz siatki NKWD był prosty i zarazem optymistyczny: „Strzała” (*Striela*). Lepiej by było, a na pewno właściwiej, pominąć ostatnią samogłoskę, wówczas pozostawałoby bardziej stosowne słowo: „Strzał” (*Striel*). Ale nikt się na to jakoś nie zdecydował, choć Sibłag miał wielu naczelników. Archiwa historii zapamiętały tylko ich nazwiska, pierwsze litery imion i otczeństwa. Zmieniali się często, niekiedy wracali po kilkuletniej przerwie. Rozrzut specjalności tego łagru był ogromny, więźniowie zastępowali ludzi wolnych na każdym odcinku „rozległego frontu budowy socjalizmu” – od rolnictwa, rybołówstwa i hodowli trzody przez obowiązkowy niemal wszędzie wyrąb lasu i budowanie dróg, aż po rozbudowę kolei, pracę w cegielniach, przemyśle metalowym, a także przemyśle lekkim, do którego zaliczał się zarówno największy w tej części ZSRR jajski kombinat odzieżowy, jak i mniejsze zakłady.

Kiedy Szerszniowowie wrócili do swego miasta, Sibłag liczył już około pięćdziesięciu tysięcy więźniów. Nie było ich jednak widać i nikt z rodziny chyba nawet nie pomyślał, że może się w nim kiedyś zna-

leżć. Nie wiem, z czego żyli. Nie wiem, z czego żyła rodzina Szerszniovów, rodzina Biełogłazowów i rodzina Bażenowów. Z czego mogli żyć rosyjscy rzemieślnicy i kupcy na pograniczu dwóch epok, dwóch historycznych okresów: wielkiego głodu i wielkiej czystki? Zapewne już wówczas, po powrocie z Tadżykistanu, babka nie zastała własnej matki, która zmarła z głodu i wycieńczenia, „niemal żywcem zjedzona przez wszy” – tak przynajmniej utrzymywała mama. Czy ktoś z tego pokolenia pozostał przy życiu? Tego także nie wiadomo. Przynajmniej ja nie wiem. Podczas ostatniego pobytu w Nowosybirsku w roku 1989 próbowałam odnaleźć stary cmentarz, gdzie zostali zapewne pochowani moi pradiadkowie, ale już go wówczas nie było; na jego miejscu założono Park Kultury i Wypoczynku. Nie udało mi się więc poznać dat śmierci moich przodków.

Wiem natomiast, że dziadek Kirył z właściciela zakładu przeobraził się w pracownika państwowych zakładów szewskich i zgodnie z etosem swego zawodu przepijał wszystkie zarobki. Nie umiał się na trzeźwo zrównać w fabryce z dawnymi bezprizornymi, którym niegdyś zaofiarował dach nad głową i naukę zawodu, a którzy teraz stali się jego przełożonymi i ostrym tonem wydawali polecenia, oceniali pracę i wytykali



błędy. Niewykluczone, że to właśnie w tamtych latach odszedł od babki, pozostawiając ją na łasce losu. Znalazł nową kobietę i wygodne schronienie w domu jednej ze swych wykształconych siostr – może tej po ekonomii albo tej po prawie. Wiem, że po latach, kiedy moja mama po raz pierwszy mogła wreszcie pojechać „z wycieczką” do ojczystego kraju, złożyła wizytę jednej z nich i wykrzyczała jej krzywdę swej matki.

To odejście nie nastąpiło jednak od razu. Najpierw próbowali się urządzić. Mama opowiadała, jak budowała jakiś „samodziałowy” drewniany domek, jak go smarowała po wierzchu gliną i jak ten domek odpłynął podczas wiosennej powodzi, uniesiony wezbranymi wodami rzeki Ob. Drugi domek, przy ulicy Sowieckiej 46, zbudowany solidniej niemal w samym centrum miasta i jeszcze nieotoczony przez socrealistyczne bloki, stał się siedzibą rodziny na wiele lat. Dziadek starał się jakoś wyplątać z rodzicielskich obowiązków. Lida, jedyna dorosła, pragnąca za wszelką cenę wrócić do pracy przy filmie, została wysłana do Moskwy, do jednej z sióstr Szerszniowych. Nie wiedziała, że tajny plan uwzględniał nie tylko pracę w wytwórni, ale – zgodnie z tradycją tej rodziny – także zamążpójście. W końcu dlaczego miała mieszkać przy rodzinie, jeśli pod ręką był gotowy narzeczony z mieszkaniem?

Pierwsze małżeństwo mamy jest otoczone tajemnicą. Znalazłam kiedyś zrobione w roku 1938 zdjęcie, na którym mama pochyla się nad kędzierzawym blondynem o pocziwej, okrągłej twarzy. Później tę twarz starannie wycięła. – To nie był udany związek – skomentowała. A kiedy dorosłam, dodała: – Byłam jego pierwszą kobietą. Zamęczał mnie. – Zajęcie w Mosfilmie jednak dostała. Polegało ono na ślęczeniu przy stole montażowym i cierpliwym sklejanu taśmy. Mama opowiadała, jak po wielu tygodniach pracy reżyser zatarł ręce: – To będzie sukces – powiedział. – Niech się pan zawczasu nie cieszy, mogą przecieź nie puścić. – Wykrakała. Film wylądował na półce. Nie zapytałam o nazwisko reżysera.

Tymczasem wyszedł na jaw talent Wiery. Rozpoczęła naukę w szkole muzycznej i marzyła o leningradzkim konserwatorium. Jura nadal chodził do obowiązującej w całym kraju dziesięciolatki. Babka zabrała się za szycie. Nie miała wyjścia. Przypomniała sobie zajęcia z czasów panieńskich, kiedy szycie było częścią edukacji. Uwijała się przy maszynie i w kuchni, wyszarpywała dziadkowi resztki nieprzepitych rubli,



pewnie płakała, kiedy Jura założył czerwoną chustę i został pionierem, a niedługo potem wstąpił do Komsomołu. Był indoktrynowany od małego. Mimo wszystko nie przyszło mu do głowy zakapować matkę za jej pokątne dochody, chociaż Pawlik Morozow miał już wtedy kilka pomników i stawiano go za wzór radzieckiego pioniera jak Rosja długa i szeroka. Jura ukończył czternaście lat, kiedy rozpoczęła się czystka.

Alona Kozłowa z moskiewskiego Memoriału, dysponująca wyczerpującą wiedzą o systemie przemocy w ZSRR, dała mi kilka internetowych adresów. Szukając śladów rodziny natknęłam się na tak zwaną listę Stalina: miliony ułożonych alfabetycznie nazwisk, opatrzonych krótkimi notami dotyczącymi miejsca i czasu egzekucji. Dowiedzia-

łam się z niej, że 19 marca 1937 roku w pobliżu Swierdłowska został rozstrzelany Michaił Iwanowicz Szerszniow. 1 kwietnia tego samego roku i w tym samym miejscu zginął Iwan Aleksandrowicz Biełogłazow. W okręgu nowosybirskim rozstrzelano innego Biełogłazowa, Iwana Adriejewicza. W Czelabińsku 19 kwietnia 1938 roku zabito Michaiła Wasylewicza Bażenowa, a 10 czerwca tegoż roku w Nowosybirsku wykonano wyrok śmierci na innym Bażenowie, może z bocznej linii, Aleksandrze Iwanowiczu. W ten sposób odkryłam imiona braci mojej babki: Andriej i Aleksander. Obaj mieli synów Iwanów. Jeden z nich miał też drugiego syna, Wasyla, który się powiesił. Chyba wołał to od śledztwa i kuli w tył głowy. Michaił Iwanowicz Szerszniow był zapewne młodszym bratem mego dziadka, Kiryła Iwanowicza. Może to ten w mundurku gimnazjalisty, na rodzinnym zdjęciu stojący po prawej ręce starszego brata? Michaił Bażenow to najmłodszy brat Ziny, ostatnie dziecko mojej ciotecznej babki Anny, na rodzinnym zdjęciu jest jeszcze małym chłopcem o bardzo jasnych włosach.

Zina Bażenowa, córka Anny Antonowny z domu Biełogłazowa, siostry mojej babki, urodziła się 15 października 1905 roku w Nowosybirsku jako najstarsza z czworga rodzeństwa. Na rodzinnym zdjęciu siedzi w dolnym rzędzie, w pasiastej sukience i opasce przytrzymującej gęste, ciemne włosy. Jej ojciec, Wasyl, był człowiekiem przedsiębiorczym i zamożnym, ale artystyczne zdolności Ziny nie spotkały się z jego natychmiastową przychylnością. Musiała najpierw ukończyć regularną szkołę średnią, co odbyło się nie bez przeszkód, zważywszy wydarzenia wojny światowej i rewolucji przypadające akurat na jej szkolne lata. Dopiero w okresie NEP-u mogła podjąć naukę na nowo, najpierw, w latach 1924–1928 w Swierdłowsku, w technikum sztuk pięknych, specjalność rzeźba w kamieniu, potem na wydziale rzeźby w leningradzkiej akademii sztuk pięknych, gdzie spędziła następne cztery lata, studiując najpierw pod kierunkiem Wiktora Sinajskiego i Aleksandra Matwiejewa, a w końcu u Wiery Muchiny. Dyplom zrobiła w roku 1932. Nie jest jasne, jakie były jej losy przez trzynaście lat, od dyplomu do zakończenia wojny ojczyźnianej. Dużą część tego czasu spędziła w Uzbekistanie, zapewne uciekając przed głodem, podobnie jak rodzina Szerszniowów. Uzbekistan pozwolił jej uniknąć losu ciotecznych siostr walczących z głodem i zimmem podczas blokady Leningradu, a też zapewne losu

brata, zastrzelonego w 1938. Co się stało z ojcem, nie wiadomo. Znów – ja nie wiem, ale rodzina chyba tak. Drugi brat i siostra, pieśczośliwie nazywana Panoczką, także wyjechali z Nowosybirska i założyli rodziny gdzieś daleko od ojczystych stron. Zaraz po wojnie Zina osiedliła się w Moskwie. Na wystawie pokazującej jej dorobek z Uzbekistanu znalazła się między innymi rzeźba *Uzbeczka z kozą*, która dzisiaj znajduje się w Galerii Tretiakowskiej. (Bardzo podobną porcelanową *Dziewczynkę z kozą* z tej samej serii dostałam od niej w prezencie podczas pierwszego pobytu w Moskwie). Po tej wystawie Zina zaczęła otrzymywać poważne zamówienia państwowe; do ważniejszych należały alegorie azjatyckich republik zdobiące słynną fontannę narodów ZSRR na wystawie





osiągnąć gospodarczych w Moskwie. Były to pełnoplastyczne figury Kirgizek, Uzbekek i Turkmenek w ludowych strojach. Realistyczne, ale całkiem udane. Wyszła za mąż za mało zdolnego, ale przystojnego rzeźbiarza o jakimś cielęcym nazwisku. Mieli pracownię w parterowym domku na Arbacie, w której spędzałam wiele godzin podczas naszej rodzinnej, „turystycznej” wizyty w Rosji. Potem, już jako dorosła, zatrzy-



małam się u nich na kilka dni. Mieli czteropokojowe, zapuszczone i zapchlone mieszkanie w wybudowanym tylko dla artystów ogromnym bloku, obok hipodromu. Żyli z emerytury. Twórczość Ziny przestała mnie już wtedy interesować, a jej życie jeszcze nie zaczęło. Kiedy po kilkunastu latach przyjechałam do Moskwy z Mateuszem, już nie żyła.

Wiosną 1940 Wiera jest już w Leningradzie. Mama, po ucieczce od męża „w jednej sukience”, wraca do Nowosybirsk. Jura właśnie skończył dziesięć lat i ma siedemnaste urodziny. Fotografują się, pojedynczo i razem, na jakiejś ścieżce, chyba w pobliżu domu, bo pod nogami wystrojonej mamy płacze się mała wilczyca. Bejbi – jak się potem dowiedziałam. W dalekiej Polsce trwa niemiecko-radziecka okupacja i mój ojciec właśnie ląduje za kołem podbiegunowym. Ale Lida i Jura nic o tym nie wiedzą, a jeśli nawet coś na ten temat do nich dociera, to tyle, ile im powiedzą gazety – że właśnie wyzwolono uciemiężone ziemie: Zachodnią Ukrainę i Zachodnią Białoruś. Nastrój zdjęć jest odświeżony, przecież Jura skończył szkołę i ma urodziny, Lida wkrótce wyjedzie do siostry (w Leningradzie też jest wytwórnia filmowa). Uśmiechają się do siebie i do życia. Ich wojna zacznie się dopiero za rok. Wtedy Jura sfotografuje się w żołnierskim mundurze, z plecakiem, i przed wyruszeniem na zew ojczyzny usiądzie matce na kolanach. Zaraz potem Lida i Wiera zostaną zamknięte w leningradzkim pierścieniu śmierci.

W wieku osiemnastu lat Mateusz odkrył podobieństwo do swego ciotecznego dziadka. Ogolił głowę i zaczął mocno zaciskać szczęki, by nadać twarzy wyraz zdecydowania i siły.

POSTSCRIPTUM

Miejsca stalinowskich egzekucji opisał mi później Tomasz Kizny: „W Swierdłowsku (Jekatierinburgu) masowe groby rozstrzelanych w 1937–1938 znajdują się za miastem (kilka hektarów lasu) na tak zwanym *12 km Moskowskiego trakta*, dzisiaj stoi tam krzyż i płyty z nazwiskami 18 500 rozstrzelanych w oblasti swierdłowskiej, być może są tam też imiona M.I. Szerszniowa i I.A. Biełogłazowa. W Czelabińsku ofiary egzekucji zakopano w starych kopalniach złota na Złotej Górze, za miastem w pobliżu osiedla Szerszin. Masowe groby odkryto w 1989

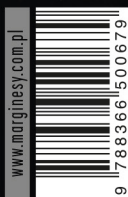
roku dzięki inicjatywie miejscowego «Memoriału», ekshumowano 350 szczątków. Poniżej miejsce gdzie pochowano ekshumowane ofiary w 1989 roku. W Nowosybirsku miejsce masowych grobów jest do dzisiaj nieznane”.



**KUP
TERAZ!**

Poszukiwania przodków przeplatają się z wątkiem zaginionego syna, o czym Anda Rottenberg opowiada odważnie i szczerze.

To książka o trudnych relacjach, miłości, cierpieniu, poszukiwaniu tożsamości, oczekiwaniu, stracie, śmierci i pogodzeniu z losem. O upadkach i o podnoszeniu się.



cena 54,90 zł

PIRONT MEDALNY

VOGUE

BOOKLIPS.PL IIII

w sprzedaży także

eBOOK